

BAŚ



WYBRAŁ



MIĘ

I PRZEŁOŻYŁ

STARO



FELIKS

GER MAŃ



PRZYBYŁAK



SKIE



;

FELIKS PRZYBYŁAK

**BAŚNIE
STAROGERMAŃSKIE**



WYDAWNICTWOJ / WROCŁAW 2022

Nad wielką rzeką, która przybrała po ulewie tak bardzo, że aż wystąpiła z brzegów, w małej chatce spał wielce utrudzony stary przewoźnik. W środku nocy obudziły go głośne nawoływania podróżnych, którzy chcieli, żeby ich przewieźć na drugą stronę.

Przewoźnik, wyszedłszy przed próg, ujrzał przy uwiązanej łodzi dwa wielkie, unoszące się w powietrzu Błędne Ognie, które zaklinały go, by co prędzej zechciał znaleźć się z nimi na drugim brzegu. Nie ociągając się przeto, stary człowiek odbił od brzegu i z właściwą sobie zręcznością popłynął w poprzek prądu, podczas gdy obcy, w niezrozumiałym dlań języku, z wielkim ożywieniem posykiwali na siebie wzajem, a niekiedy wybuchali głośnym śmiechem, skacząc z ławek i burt na samo dno rozchybotanej łodzi.

– Łódź się kiwa! – zawołał starzec. – Jeśli się natychmiast nie uspokoiacie, możemy się przewrócić. Siądźcie, Ognie!

Skwitowali tę przestrozę gromkim śmiechem, wykpiłi starego i dokazywali jeszcze bardziej niż wprzód. A on cierpliwie znosił ich swawole i wnet dobił do drugiego brzegu.

– Oto zapłata za wasz trud! – zawołałi podróżni, i kiedy zaczęli się otrząsać, sporo kawałków złota nawpadało do mokrej łodzi.

– Na miłość boską, co wyprawiacie! – zawołał stary. – Gotowiście mi biedy napytać! Bo gdyby do wody wpadł bodaj kawałek złota, wówczas prąd, który tego metalu nie znosi, uniósłby się przerażającą falą i połknąłby niechybnie łódkę i mnie, a kto wie, czy i wam samym coś by się nie przydarzyło! Biercie z powrotem to swoje złoto!

– Nie potrafimy zabrać z powrotem niczego, co wytrzęśliśmy z siebie – oni na to.

– No więc przysporzyliście mi jeszcze roboty – powiedział stary, schylając się i zbierając w czapkę kawałki złota. – Teraz muszę to pozbierać, wynieść na ląd i zakopać. Błędne Ognie wyskoczyły z łodzi, a stary zawołał:

– A zapłata?

– Kto nie bierze złota, niech się darmo trzusi! – odkrzyknęły Błędne Ognie.

– Trzeba wam wiedzieć, że wolno mi przyjmować jako zapłatę jedynie płody ziemi.

– Płody ziemi? Ależ gardzimy nimi i nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego.

– Jednakże nie mogę was puścić, dopóki nie przyrzekniecie mi trzech główek kapusty, trzech karczochów i trzech dużych cebul.

Sława jej urody i skromności wychwalane pod niebiosa rozniosły się na cztery wiatry. Wielu książąt i hrabiów ciągnęło z dalekich stron, by starać się o jej rękę. I Tag, i Sekwana, rzeka Po i Tamiza, także ojciec Ren, wszystkie krainy stały swych bohaterskich synów do Brabancji, by złożyli hołd pięknej Ryszyldzie. Jej pałac sprawiał wrażenie mieszkania wróżki, każdy przybysz doznawał tam najlepszego przyjęcia, żaden też nie omieszkał się zaraz wywdzięczyć czarującej właścicielce za jej uprzejmość najbardziej wyszukany komplementem. Żaden dzień nie mijał bez turnieju, bez ustanku stawali na turniejowym polu rycerze w pięknych zbrojach, którzy przez swych heroldów ogłaszali na rynkach i rogatkach miast wyzwanie: kto nie uznałby hrabianki z Brabancji za najpiękniejszą damę tego czasu albo śmiałby twierdzić, że się temu sprzeciwia, niech stanie w szranki na placu turniejowym i z bronią w ręku dowiedzie paladynom pięknej Ryszyldy swych racji. Nikt zazwyczaj się nie zgłaszał, kiedy jednak z okazji jakiegoś święta dworskiego miano ochotę nieco się poczubić, znajdowali się tacy, których dało się namówić do przyjęcia wyzwania choćby po to, by móc przyznać urodzie damy swego serca nagrodę; działo się tak oczywiście jedynie pozornie, gdyż delikatność rycerzy nie zezwalała im nigdy na wysadzenie z siodła piewcy hrabianki; łamali przeto lance i uznawali się za pokonanych, przyznając hrabiance palmę pierwszeństwa w urodzie niewieściej, a ona umiała przyjmować ten hołd z istic dziewiczą skromnością.

Aż do tej pory nawet na myśl jej nie przyszło zasięgać rad magicznego zwierciadła, używała go wyłącznie jako zwyczajnego lusterka, sprawdzając, czy dziewczęta układające jej fryzurę dołożyły starań, by uczesanie dodawało jej urody. Nie pozwalała sobie na stawianie jakichkolwiek pytań, trochę dlatego, że właściwie nie zaszło nic takiego, co zmuszałoby ją do szukania rady, a trochę dlatego, że była z natury nieco bojaźliwa, tak więc mogło się okazać, że jej pytanie jest przedwczesne i nieprzemyślane, przez co błyszcząca powierzchnia lustra mogłaby się zamglić. Tymczasem liczne pochlebstwa rozbudzały coraz bardziej jej próżność, a w sercu zrodziło się pragnienie, by istotnie okazać się najpiękniejszą, jak wszem i wobec trąbiła dzień w dzień fama; dziewczica obdarzona jednakże rzadką raczej u możliwych tego świata dociekliwością umysłu nie ufała zbyt dwornym słówkom. Dla rozkwitającej dziewczyny, niezależnie od tego, jakiego byłaby stanu i godności, pytanie o urodę lub jej brak staje się problemem równie ważnym, jak dla ortodoksyjnego nauczyciela Kościoła pytanie o cztery rzeczy ostateczne. Trudno więc dziwić się, że piękna Ryszylda pragnęła nauki i wiedzy w tej akurat materii, która dla zaspokojenia żądzy wiedzy najbardziej była dlań interesująca, a od kogóż mogła spodziewać się uzyskania najpewniejszych i budzących najmniej wątpliwości orzeczeń, niż od swego nieprzekupnego przyjaciela, zwierciadła? Po krótkim namyśle zwrócenie się doń ze stosownym pytaniem wydało jej się tak słuszne i oczywiste, że nie miała już żadnych wątpliwości, że winna je skierować do tej instytucji. Pewnego dnia zatem zamknęła się w swej komnacie, podeszła do magicznego zwierciadła i wyrzekła sentencję zaklęcia:

Lustro lśnień

rozprosz cień

i spośród brabanckich dam

najpiękniejszą ukaż nam.

Nieopodal stolicy żył w swych dobrach pewien stary człowiek. Trzymał się na uboczu, oddany całkowicie sprawom wychowania swego jedynaka, i parł się dodatkowo udzielaniem porad lekarskich okolicznym mieszkańcom w ich cięższych przypadłościach. Młodzieniec, jego syn, był poważny i całkowicie zanurzony w wiedzy o naturze, do której jego ojciec zaprawiał go od dzieciństwa. W te okolice ojciec jego przywędrował z dala przed kilkoma laty, zadawalając się całkowicie zażywaniem dobroczynnego pokoju w kwitnym i spokojnym kraju, którego władca rozpościarał wokół siebie aurę ciszy i błogości. Było mu to potrzebne dla spokojnych badań nad siłami natury i przekazywania tych porywających informacji swemu synowi, który przejawiał wielkie zdolności w tym kierunku i którego usposobieniu i głębokiemu umysłowi natura gotowa była powierzać z chęcią swe tajemnice.

Jeśli ktoś ze zrozumieniem nie potrafił wniknąć w tajemne ukształtowanie szlachetniej twarzy i niezwykłą wyrazistość oczu młodzieńca, jego postać wydawała się na pierwszy rzut oka zwyczajna i niczym się niewyróżniająca. Im dłużej jednak patrzyło się na niego, tym bardziej stawał się pociągający, aż ledwo można było się odeń oderwać, zwłaszcza gdy słyszało się jego łagodny, choć wyraźny, zapadający w pamięć głos i zniewalający dar wymowy. Pewnego dnia królewna, której park graniczył z lasem skrywającym posiadłość starego człowieka w niewielkiej kotlinie, samotnie udała się konno do lasu, by bez jakichkolwiek przeszkód oddawać się fantazjom i powtórzyć sobie piękne wiersze. Świeżość bijąca od wysokich drzew lasu wabiła ją coraz głębiej w ostępy, aż wreszcie dotarła do owych ziemskich dóbr, w których starzec żył ze swym synem. Nabrawszy ochoty na mleko, zsiadła z konia, przywiązała go do drzewa, a sama weszła do domu poprosić o łyk mleka. Zastała syna, który nieomal przeraził się czarownym zjawieniem się tej żeńskiej istoty, nadto wyposażonej we wszelkie przymioty młodości i piękna, która przez nieopisaną wręcz i budzącą podziw najdelikatniejszą i najniewinniejszą przejrzystość duszy wydała mu się bóstwem. Kiedy pośpieszył spełnić jej prośbę, brzmiałą niczym śpiew nieziemskich istot, nadszedł starzec, który zbliżył się ku niej i pełen skromności zaprosił ją z uszanowaniem, by zechciała zająć miejsce przy prostym, stojącym pośrodku izby piecu, na którym buzował, wznosząc się lekko ku górze, błękitny, bezgłośny płomień.

akież było jej zdumienie! Otaczał ją niesłychanie kolorowy, najweselszy ogród pełen kwiatów, przewspaniałymi barwami pyszniły się w nim tulipany, róże i lilie, niebieskie i czerwono-złote motyle kołysały się na kwiatach. W klatkach ze lśniącego drutu zwisały w szpalerach wielobarwne ptaki, które wyśpiewywały wspaniałe pieśni, a dzieci w kusych, białych ubraniach, ze złotymi lokami i jasnymi oczami, skakały wokół. Jedne bawiły się z owieczkami, drugie karmiły ptaki albo rwały kwiaty, obdarowując się nimi wzajemnie, jeszcze inne zajadały się wisienkami, winogronami i czerwonymi brzoskwiniami. Nigdzie nie było widać żadnej szpetnej chaty, natomiast stał tam piękny dom ze spiżową bramą i szacownym zbiorem obrazów wewnątrz, świadczącym o światłych umysłach jego mieszkańców. Maria nie posiadała się ze zdumienia. Nie wierząc własnym oczom, zbliżyła się do pierwszego dziecka i na dzień dobry podała mu rękę.

– Czy przyszedł nas odwiedzić? – spytało dziecko, które było wprost olśniewające. – Widziałem cię, jak skaczesz tam i biegniesz ku nam, i jak się zląkłaś naszego pieska.

– Wcale nie jesteście Cyganami ani złodziejaskami, jak plótt Andres – rzekła Maria. – Ależ z niego głuptas, plecie, co mu ślina na język przysienie.

– Zostań z nami – rzekło cudowne maleństwo – wcale nie pożałujesz tego.

– Ależ my się teraz właśnie ścigamy!

– Zdążysz jeszcze. Poczęstuj się, jedz!

Maria zgodziła się, a owoce, którymi ją poczęstowano, wydały jej się słodsze niż wszystko, czego dotąd próbowała, szybko więc i zakaz jej rodziców, i Andres wypadli jej z pamięci.

Jakaś kobieta w lśniącej cudownie sukni zbliżyła się do nich i spytała, co tu robi obce dziecko.

– Najjaśniejsza pani – rzekła Maria. – Wbiegłam tu przez przypadek, a dzieci poprosiły, żebym z nimi chwilkę została.

– Ale wiesz, Zerino – powiedziała piękna pani – że można tu przebywać tylko przez krótki czas, no i trzeba mnie wpierw zapytać o zgodę.



WWW.WYDAWNICTWOJ.PL

cena 40 zł



9 788396 302724



WYDAW
NICTWC

Partnerem medialnym jest

